

"SZTEKER"

NA WILEŃSZCZYŹNIE W LATACH WOJNY

Postaram się opisać to, o czym jeszcze nie zapomniałem i gdzie brałem autentyczny udział w danych przypadkach.

Jestem rodowitym Wilnianinem, jednak ostatnie dwa lata przed wojną mieszkałem na wsi, w miejscowości Kosinka, położonej w odległości 2 km od Miednik Królewskich, w których później był obóz internowanych żołnierzy AK.

Wojna w 1939 roku zastała mnie na wsi, tj. w Kosince. Po wkroczeniu Sowieców, po krótkim czasie Sowieci oddali te tereny, tj. Wilno i województwo wileńskie, dla Litwinów.

Litwini zaczęli rządzić po swojemu, a ponieważ wszystkich swoich ludzi zmobilizowali i nie było komu pracować na roli, więc zabierali polską młodzież do roboty na tereny rdzennej Litwy. Był wyznaczony także mój młodszy brat Józef, lecz ja bałem się, że jest taki młody i nie da sobie rady, to wzamian ja pojechałem z postanowieniem, że zaraz ucieknę. Tak też się stało. Po dwóch tygodniach uciekłem z okolic Kiejdan. Przedostać się przez granicę pomogli mi polscy robotnicy, którzy dojeżdżali z Wilna do roboty. Dawna polsko-litewska granica była jeszcze strzeżona przez litewską straż graniczną.

Jakiś czas był względny spokój, dopiero gdzieś w sierpniu 1940 roku Rosjanie znowu wkraczają do Wilna, rozbijają Litwinów, tworzą swoje posterunki milicji i zaczyna się deportacja ludności tak polskiej jak i litewskiej. Mój nieżyjący ojciec był legionistą Piłsudskiego i służył w Wojsku Polskim w stopniu chorążego, więc ja też byłem zagrożony wywózką i miałem się zawsze na baczności - w domu nie nocowałem, ponieważ zabierali przeważnie nocą. I jakoś udało się przetrwać do wybuchu wojny niemiecko-ruskiej.

W naszej miejscowości Niemcy już byli 25 czerwca 1941 roku. Trochę odetchnęliśmy. Niemcy na naszych terenach postępowali dosyć dobrze, do roboty gnali, ale płacili za to, naznaczone kontyngenty rygorystycznie ściągali, ale specjalnie ludności nie prześladowali. Uważali nas za Litwinów, a jak wiadomo - Litwini ustosunkowali się bardzo przychylnie do Niemców, a z Polaków robili przymusowo Litwinów - przy wydawaniu dowodów jako narodowość to czy kto chciał czy nie - pisali "Létuwis".

Ja to w ogóle nie poszedłem po dowód, a później, gdy już minął termin wydawania dowodów, to porozumiałem się z sekretarzem gminy i on mi za łapówkę przypiął do mojej metryki urodzenia fotografię i na odwrocie potwierdził tożsamość osoby, tak że miałem się czym legitymować.

W roku 1943 na wiosnę zostałem wciągnięty do konspiracji, ponieważ przed wojną należałem do Stronnictwa Narodowego i byłem sekretarzem koła w Kosince, więc miałem znajomości u studentów z Uniwersytetu Stefana Batorego i oni zaangażowali mnie do pracy konspiracyjnej na rzecz I Brygady Wileńskiej u "Juranda". Moim zadaniem był kolportaż gazetek, m.in. "Biuletynu Informacyjnego", oraz organizowanie polskiej młodzieży do walki z okupantem; następnie powierzono mi funkcję dostawcy broni. Ponieważ wszędzie myszkowałem gdzie jest jaka broń pozostawiona przez rozbite wojska sowieckie, Niemcy wpadli na mój trop i na jesieni 1943 roku zostałem schwytany i osadzony narazie w miejscowości Kowalczuki, gdzie stacjonował pułk kozaków rosyjskich, którzy przeszli na stronę Niemców. Tej samej nocy w dość dramatyczny sposób udało mi się zbiec i już nie mogłem wrócić do domu i do pracy w konspiracji i musiałem wstąpić do czynnych oddziałów partyzanckich.

Udałem się do Wilna, tam zameldowałem jak sprawa się przedstawia, więc wskazali mi adres, gdzie mam się narazie ukryć, dali 60 marek na wyżywienie i powiedzieli, że w ciągu trzech dni dostanę łącznika, który doprowadzi w teren do oddziału. Już na drugi dzień przyszedł łącznik, podał hasło i naznaczył miejsce, gdzie mam się udać i stamtąd zabierze nas /bo będzie nas czterech/ łącznik z oddziału. Miejscem tym był most strategiczny na rzece Wilja na Antokolu. Stamtąd zabrał nas łącznik i udaliśmy się w stronę Niemenczyna, a że to był dzień targowy, chłopci wracali z miasta furmankami, więc poprosiliśmy o podwiezienie. Przewodnik usiadł z dwoma kolegami na pierwszej furmance, a ja z jednym kolegą na drugiej. Robiło się już szaro na dworze. Przejeżdżamy przez miasteczko Niemczyn. Pełno tam Niemców. Chłop pyta: - Dokąd panowie jedziecie? bo ja teraz skręcam w lewo. - Wsiadliśmy, a tu już nikogo nie widać. Ci na pierwszej furmance mieli chyba lepszego konia i pojechali szybciej, a my zostaliśmy sami wśród Niemców, bez dokumentów i nie wiadomo dokąd iść.

Poprosiliśmy o nocleg u gospodarza, a on powiedział, że mamy iść do dosołtysa i tam złożyć dowody, a on wyznaczy nam nocleg. Szczęście usłyszała to jakaś starsza kobieta i zabrała nas do swego domu i tam synowi powiedziała, że ma nas przemocować. Wieczorem przyszedł jakiś sąsiad a my udawaliśmy, że śpimy i z rozmowy, jaką prowadził szeptem, usłyszeliśmy pytanie: "Co to za jedni?", a później, że "... byli wczoraj w Szżanach..." Wymiarkowaliśmy, że to mowa o partyzantach. Po przespanej nocy zapytaliśmy o drogę do Sużan - było to 15 km. Po przybyciu do Sużan oczywiście nikogo tam nie zastaliśmy a pytać nie wolno, bo nie wiadomo z kim ma się do czynienia. Kolega chciał wracać do domu, lecz ja go namówiłem, że musimy jeszcze poszukać. Udaliśmy się pierwszą lepszą drogą na północ i już po przejściu około 2 km zostaliśmy zatrzymani przez posterunek partyzancki. Poprosiłem, by zaprowadzono nas do dowództwa i tam przedstawiłem nasze dzieje.

Oświadczono tam, że jest to II pluton pod dowództwem "Kitka" /pseudonim/ V-tej Brygady Śmierci, komendantem jest "Łupaszko". Wyraziliśmy zgodę na wstąpienie do V-tej Brygady i tak zostaliśmy partyzantami.

Nie będę opisywał bitew czy potyczek, bo to jest szeroko opisane w niektórych publikacjach. Zaznaczę tylko to, że "Łupaszko" prowadził prawdziwie partyzancką wojnę - był wszędzie i był nieuchwytny. Jeśli miał uderzyć większą siłą, to wtedy koncentrował całą Brygadę, uderzał i znowu rozpraszał plutonami po całym terenie. Plutony natomiast wysyłały patrole w różnych kierunkach i wydawało się, że cały teren jest nasycony wojskiem, a z drugiej strony było źle dla miejscowej ludności, bo nie mogli represjonować jakiejś miejscowości za udzielanie pomocy partyzantom, bo byliśmy wszędzie, no i oczywiście łatwiej jest wyżywić parę ludzi niż całą Brygadę.

Z zaopatrzeniem w żywność to było tak: często robiliśmy wyprawy na Litwę, gospodarze tam żyli bardzo bogato i stamtąd przygnaliśmy bydło, świnie czy owce. Następnie przydzielaliśmy na nasz teren gospodarzom, a jak była potrzeba, to zabieraliśmy na rzeź. Chłopi chętnie przechowywali te krowy, bo to były piękne sztuki, a na rzeź oddawali swoje byle jakie - nam to nie robiło różnicy, aby była sztuka za sztukę. Pamiętam, jednego razu wróciliśmy z takiej wyprawy, obrobiliśmy wtedy majątek generała Plechawiciusa. Pełniłem wtedy obowiązki podoficera gospodarczego.

Co miesiąc jeden dowódca drużyny pełnił takie obowiązki i jego zadaniem było zaopatrzyć pluton w żywność. Przygnaliśmy wtedy około trzydziestu sztuk bydła i trzeba było zarząca jakąś sztukę, aby rozdzielić mięso na drużyny. Zawołałem miejscowego chłopca i powiedziałem, żeby zawołał kogo do pomocy, a za to zabierze sobie skórę, nogi, głowę i wnętrzności. On mi na to mówi, że szkoda zarząca taką ładną sztukę i że on da mi dwa byczki a weźmie sobie krowę. Zgodziłem się na to. Po chwili przychodzi i powiada, że już przyprowadził. Pytam: "Gdzie są? bo ich nie widzę." - Poszedłem za nim, a tam rzeczywiście dwa byczki, ale wielkości dwóch psów! Uśmiełem się i pytam: "Czy starczy na obiad na 60-ciu ludzi?" - Mówi, że na pewno starczy. Powiadam mu: "To wybierz sobie krowę, jaką chcesz." - Nie chciał wierzyć, no i w końcu wybrał piękną krowę, ucałował ją i poprowadził. Jeszcze potem, po zarżnięciu tych byczków, przyniósł mi w prezencie trzy litry wódki, chociaż to produkt był u nas w Brygadzie zakazany, mimo to potajemnie czasami się wypiko dla poratowania zdrowia.

Krązą takie mity, że partyzanci to tylko siedzą w lasach, mają tam ziemianki, kuchnie i stąd robią wypady. Może to tak gdzie i było, ale u nas było całkiem inaczej. Nigdy my w lesie nie nocowaliśmy. Początkowo - jak jeszcze teren nie był przez nas całkowicie opanowany - to przemieszczaliśmy się z miejsca na miejsce tylko nocami. A później - po zlikwidowaniu mniejszych posterunków niemiecko-litewskich - to już w nocy mało maszerowaliśmy, tylko w razie potrzeby, jak były wymarsze na jakąś wyprawę czy zadanie. Po przyjsciu na nowe miejsce postoju dowódca plutonu wyznaczał kwatery na poszczególne drużyny. Np. było w wiosce 15 domów - jeden dom zajmował dowódca plutonu wraz z zastępcą i sanitariuszką i przed tym domem stał zawsze posterunek alarmowy, którego zadaniem było w razie niebezpieczeństwa i ogłoszenia alarmu poderwać wszystkie drużyny. Następne domy przypadały do wyżywienia, około czterech żołnierzy na jeden dom. Nie było to wielkim obciążeniem dla mieszkańców, jeśli raz na miesiąc albo i rzadziej nakarmić czterech ludzi, zwłaszcza, że mięso rozdzielaliśmy swoje. Oprócz tego wysyłane były patrole po zbiórke żywności i wtedy, co kto mógł, to ofiarowywał, bez przymusu, a to kilka jaj, kawałek słoniny czy kurę, tak że ci mieszkańcy, którzy nas kwatrowali, dawali tylko swój chleb, sól czy ziemniaki, no i gospodynie gotowały. Nieraz było tak, że jeszcze obiad nie był gotowy, a tu alarm i wymarsz, no i wszystko zostawało.

Ze wszystkich stron zajętej wioski stały posterunki i nikt z wioski nie miał prawa wyjść, a kto przechodził, czy przyszedł do tej wioski, był zatrzymywany i nie miał prawa opuścić zanim my nie odeszliśmy. Nigdy dłużej nie zatrzymywaliśmy się jak na 12 godzin, może w nielicznych przypadkach trochę dłużej. Każda z drużyn musiała spać razem w jednym domu, na podłodze na sianie, a często nie było podłogi tylko klepisko i też nie wolno było położyć się na łóżku czy nawet na ławie i nie wolno było nic wziąć do przykrycia ani pod głowę. Spaliśmy w ubraniach i butach i z całym oporządkiem, tak że - jak był alarm - to w ciągu 10 sekund byliśmy już na dworze. Bardzo dokuczały wszy, które każdy miał mimo tego, że często zmienialiśmy bieliznę i często chodziliśmy do łaźni. A potem jeszcze pozarażaliśmy się świerzbem, ale "Łupaszko" sam udał się do Wilna i przywiózł całą banię maści świerzbu, tak że tej przykrej choroby szybko pozbyliśmy się.

Teraz o stosunkach partyzantki radzieckiej do ludności polskiej. Na nasz teren, po klęsce pod Radziuszami, gdzie Rosjanie ponieśli bardzo duże straty, sowieci już nie zapuszczali się, natomiast koło swoich baz w rejonie jeziora Narocz to tak ogolocili ludność ze wszystkiego, że ludzie spali na gołej słomie, a pod głowę to był worek z owsianą plewą i nakrywali się tym co mieli na sobie. Jak tam już nie było co rabować, to zaczęli zapuszczać swoje patrole rabunkowe w stronę naszych terenów i ludność zwróciła się o pomoc do nas.

Było to w lutym 1944 roku. Wyruszyliśmy, aby trochę przetrzebić te bandy grasujące w okolicach Świra. Panował wtedy siarczysty mróz i musieliśmy wystawiać liczne posterunki w nocy, bo akurat wracały te patrole - jak sowieci nazywali - z "bambioszki". Pamiętam, w jedną noc mieliśmy 12 alarmów i za każdym razem była potyczka, tak że wszystko, co mieli nagrabione na saniach, wpadło w nasze ręce - my nie ponieśliśmy żadnych strat. Niemcy, gdy się dowiedzieli, co my robimy, to zaczęli bombardować sowieckie bazy, aby to wyglądało, że "Łupaszko" współpracuje z Niemcami. "Łupaszko" wówczas zarządził natychmiastowy odwrót, aby nie być o to posądzony.

Stosunek Białorusinów do Polaków był bardzo przychylny, nigdy nie zauważyliśmy różnicy w gościnie od Białorusinów czy ludności polskiej, dużo nawet młodzieży białoruskiej dołączało do naszej Brygady.

Jeśli chodzi o IV-tą Brygadę, to niewiele mogę o niej powiedzieć. "Ronin" - Longin Wojciechowski był adiutantem u "Łupaszki", a później, gdy już nasza V-ta Brygada nie mogła wchłonąć co raz więcej dołączającej młodzieży, stworzono w marcu 1944 roku IV-tą Brygadę "Narocz" pod komendą "Ronina". Ja u "Ronina" byłem tylko pod Wilnem, ponieważ około 5 lipca byłem wysłany na daleki patrol aż pod Oszmianę i gdy powróciłem, to już naszej Brygady nie zastałem tam, gdzie miałem zastać; natomiast na tym miejscu stał "Jurand" i oświadczył mi, że "Łupaszki" już nie dogonię i że bym został przy nim. Tak też uczyniłem. Wkrótce wyruszyliśmy pod Wilno i ja ze swoją drużyną zostałem przydzielony do ochrony sztabu. Później "Jurand" wyprawił ~~mię~~ mnie pod Mejszagolę, skąd spodziewane były ataki czołgów niemieckich, a moim zadaniem było zasygnalizowanie rakietą o tym ataku. "Jurand" zginął pod Wilnem, a ja tkwiłem na tym posterunku, bo nie miał mnie kto ściągnąć. Jak się dowiedziałem, że "Jurand" zginął, to wróciłem w okolice Nowosiółki-Gierale-Krawczyny i tam również był "Ronin" ze swoją Brygadą. Dołączyłem do niego i następnie "Ronin" wysłał mnie na pole bitwy, skąd wynoszono rannych, aby ich osłaniać. Rannych szczęśliwie ewakuowałem, ale straciłem jednego człowieka i sam zostałem ranny.

Gdy Wilno zostało zdobyte, wycofano nas na tyły i powiedziano, że będziemy tworzyli regularne pułki. Następnie zostaliśmy rozbrojeni przez Sowietów i umieszczeni w Miednikach Królewskich. Stamtąd na trzeci dzień uciekłem i ukrywałem się do stycznia 1945 roku, następnie przedostałem się pod Lidę, gdzie jeszcze walczyły nasze oddziały. Dołączyłem do jednego z nich i dalej walczyliśmy z Sowietami jako organizacja "Rada Obrony Ziemi Wschodnich". Znowu organizowaliśmy młodzież do powstania, a potem przyszedł rozkaz z Londynu w 1945 roku, aby wyjeżdżać na Zachód. Rozbroiliśmy się i wyjechałem pod innym nazwiskiem. 7 marca 1947 ujawniłem się i wróciłem do swego nazwiska.

"Szteker"